

JERZY PELC

OD WYDAWCY:  
POŻEGNANIE ZE „STUDIAMI SEMIOTYCZNYMI”

Gdy człowiek, który – jak ja obecnie – ma dziewięćdziesiąt jeden lat, rezygnuje z jakiegś działania, nie musi specjalnie się wysilać, aby usprawiedliwić swą decyzję. Lepiej, by sam wybrał ten moment i uprzedził o tym otoczenie, niżby miała zań zdecydować natura i zaskoczyć zarówno jego, jak innych.

Politycy używają przerośniętych o kierowaniu z tylnego siedzenia. Chyba posługują się wtedy obrazem prowadzenia samochodu przez pasażera jako faktycznego kierowcy. Otóż, co istotne, ów pasażer-kierowca siedzący na tylnym siedzeniu jedzie owym samochodem i – choć z trudem – może się dostosowywać do sytuacji na drodze. Ja zaś muszę pozostawać w domu. W czerwcu 2010 r. zerwałem ścięgno Achillesa (wypadek ten był, jak dotychczas, jedynym przejawem mojego związku ze sportem). Po dokonanej operacji nastąpiły komplikacje wymagające długotrwałego leżenia. I odczyłem się chodzić inaczej niż z czyjąś pomocą. Zrazu już tylko z rzadka mogłem się zjawiać na tradycyjnych semiotycznych piątkach naukowych, później i tego musiałem zaprzestać. A te zebrania, odczyty na nich wygłaszane, były nie jedynym wprowadzaniem, ale obfitym źródłem, z którego czerpały wydawnictwa Zakładu Semiotyki Logicznej UW i Polskiego Towarzystwa Semiotycznego.

Także „zdalna” opieka naukowa nad posiedzeniami, roztaczana bez styczności z podopiecznymi, znajduje się poza kręgiem moich umiejętności i możliwości. Dlatego, zgodnie ze zmodyfikowaną nieco maksymą „*Amicus Achilles, sed magis amica veritas*”, uważam, że w zaproszeniach na owe posiedzenia należy zaprzestać dodawania kurtuazyjnej formułki powołującej się na moje „orędownictwo”, którą młodszy Koledzy starają się dodać mi otuchy, za co jestem Im szczerze wdzięczny. I dlatego także żegnajmy się ze „Studiami Semiotycznymi”. Nie potrafię zza biurka w swoim mieszkaniu sterować sa-

mochodem. Podkreślam słowa „nie potrafię”, ja nie potrafię, nie wykluczam jednak, że ktoś inny zdołałby sprostać temu zadaniu.

Półżartem – smutnym żartem – dodam, że obecnie, gdy wprowadzono nowe przepisy „rankingowe”, autorzy artykułów odrzuconych przez redaktora lub wydawcę naukowego mają do wyboru trzy wyjścia: 1) kłopotliwe dla siebie – wprowadzić sugerowane zmiany; 2) korzystne dla własnej wygody – wyszukać innego wydawcę, który się mniej zna na meritum zagadnień poruszanych w zakwestionowanej pracy, więc ją zaakceptuje, i „zapłaci” tyle samo punktów; 3) wreszcie najmniej korzystne dla autora i dla społeczeństwa – wyszukać sobie kupca, który wprawdzie zapłaci za publikację mniej punktów, ale będzie przez palce patrzył na oferowany mu tekst i przyjmie byle co, „jak leci”. Każdy przyzna, że ta ostatnia droga prowadzi w skali ogólnej do stopniowego obniżania poziomu naukowego publikacji, ale jeśli autor się tym nie przejmuje i stosuje taktykę kramarza „duży obrót – mały zysk”, to przy pewnej pracowitości i dzięki cierpliwemu produkowaniu tandety w końcu wyjdzie na swoje: uezbiera kapitał rankingowy potrzebny mu do kariery. Podobnie wydawca-kramarz czy redaktor-kramarz: będzie miał zagwarantowaną obfitą dostawę tekstów. Zatrudni urzędnika-rankingoznawcę, eksperta od przepisów miejscowych i unijnych. Zamiast wydawać rocznik, wkrótce zaleje rynek miesięcznikami, może dwutygodnikami, założy kilka nowych periodyków „naukowych” i stopniowo zacznie dyktować nowy standard demokratycznej naukowości: dla każdego według jego potrzeb rankingowych, warunku awansu i kariery autora lub redaktora, a prosperowania periodyku. Co do mnie, nie mam ochoty na udział w takiej zabawie, mimo że staram się zrozumieć, iż tego rodzaju *modus vivendi*, czy raczej przetrwania naukowców i czasopism naukowych, jest twardą koniecznością, a nie kaprysem urzędników. Musieli oni narzucić nam ten system, w którym miara liczbowa zapanowała nad oceną jakości, a zatem procedurę szkodliwą zwłaszcza w humanistyce. Być może nie widzieli innego wyjścia. Mieli obowiązek uczciwie się rozliczyć przed sponsorem, Skarbem Państwa, z pieniędzy powierzonych im do sprawiedliwego rozdziału. Pragnęli przy tym uchylić podejrzenia obu stron, dotującego i dotowanego, że kierują się czymś innym jak tylko obiektywnymi kryteriami, a zarazem uniknąć kłopotliwego rozpatrywania każdego indywidualnego wniosku o finansowanie z osobna. Najwygodniej w takiej sytuacji było wyrzec się nawet najmniejszej ingerencji czynnika subiektywnego i ocenę jakości zastąpić pomiarem ilości, a zatem smak omylnego znawcy – nieomylnym kalkulatorem, wartościowanie zaś – algorytmem. Bywa widocznie i tak, że jakość przechodzi w ilość, a nie – jak nas przekonywano – na odwrót.

Czuję się odpowiedzialny za wszystkie dotychczasowe tomy „Studiów” łącznie z obecnym. Ale już nie za angielski suplement do nich, choć przed kilku laty bez wahania podjąłem sugestię wydania takiego dodatku prze-

kazaną mi przez Tadeusza Ciecierskiego, wówczas doktora oraz sekretarza PTS, i jako ówczesny prezes PTS natychmiast podpisałem odpowiednie podania o „grant”. Nie mogę sobie przywłaszczać chwały za ten suplement, skoro nie wpływałem na wybór jego realizatorów ani na wybór tekstów (choć upominałem się o to, aby w całości uwzględnić wkład zmarłych), ani na poziom przekładów itd. Redaktor lub redaktorzy tego suplementu najlepiej będą wiedzieli, komu obecny prezes PTS i obecnie już doktor habilitowany Tadeusz Ciecierski ma podziękować za jego opracowanie.

Ze wspomnianego powodu („nie potrafię prowadzić samochodu, pozostając w domu”) byłem zmuszony odmówić szaczonej propozycji Zarządu PTS, abym w przyszłości objął przewodnictwo Rady Naukowej „Studiów Semiotycznych”, gdy zostaną one formalnie zarejestrowane jako czasopismo. Nie chciałem też brać udziału w wyborze moich następców: ani na stanowisku ich redaktora, ani na stanowisku prezesa PTS.

Nie znaczy to jednak, abym w czasie swej przeszło pięćdziesięcioletniej działalności na polu semiotyki polskiej i światowej, m.in. działalności organizacyjno-administracyjnej, nie zdołał zgromadzić pewnych doświadczeń, którymi warto byłoby podzielić się z kolegami. Nie będę więc zabierał niczyjego czasu dłuższym wyliczaniem przyczyn mej rezygnacji: przedtem z prezesury PTS, obecnie z redagowania „Studiów Semiotycznych”. Zamiast tego z przeszłości Towarzystwa, Zakładu Semiotyki Logicznej UW oraz wydawnictw semiotycznych wydobędę kilka faktów, które – jak myślę – pozwolą sformułować pewne wytyczne dotyczące przyszłego rozwoju semiotyki polskiej.

Na wstępie tego retrospektywnego przeglądu pragnę zwrócić uwagę Czytelnika na dwa szczegóły: ortograficzny i terminologiczny, zapewne dlań niewidoczne, a jednak w tym wypadku istotne. Oto gdy w roku 1970, czyli przed czterdziestu pięciu laty, po raz pierwszy oddałem do rąk Czytelników „Studia semiotyczne”, z rozmysłem zastosowałem w nich pisownię przyjętą dla tzw. druków zwartych, „Studia semiotyczne”, i konsekwentnie w podtytule sformułowanie „wydał i wstępem opatrzył”, nie zaś – jak w czasopiśmie – „Studia Semiotyczne” oraz informację o osobach redaktora, składzie komitetu redakcyjnego i rady redakcyjnej; nie został też wymieniony numer rocznika ani zeszytu. Ale bo też wcale nie miałem zamiaru zaczynać od powołania do życia czasopisma. Nie tylko dlatego, że byłoby to skazane na niepowodzenie, bo – jak wspomniałem we wstępie *Od wydawcy* do tomu XXVII „Studiów”, który się ukazał w czterdziestolecie Polskiego Towarzystwa Semiotycznego – Urząd Kontroli Prasy i Widowisk nie zezwoliłby komuś bezpartyjnemu na założenie i redagowanie wydawnictwa periodycznego, zdaniem ówczesnych władz o wiele bardziej eksponowanego pod względem politycznym niż pojedyncza książka w znikomym nakładzie. Nie miałem wtedy zamiaru natychmiast przystąpić do publikowania czasopisma semiotycznego również i z tego powodu, że uważałem oraz nadal uważam, iż tego

rodzaju wydawnictwo, choćby nawet ukazujące się tylko raz na rok, może rozpocząć swój żywot dopiero po spełnieniu takich warunków, jak istnienie źródła systematycznego dopływu materiałów, wystarczająco obfitego, aby zespół kompetentnych redaktorów nie był skazany na stosowanie zasady „na bezrybiu i rak ryba”, lecz mógł spośród oferowanych artykułów przeprowadzić selekcję i publikować najlepsze. Nie wydawało mi się wówczas, aby istniały po temu odpowiednie warunki. Wprawdzie na inauguracyjnym zebraniu Polskiego Towarzystwa Semiotycznego (zob. mój wstęp *Od wydawcy* w IV tomie „Studiów”, rok 1975, s. 10–11) zapowiedziałem zarówno czasopismo, jak serię książek, ale były to wówczas plany na dalszą przyszłość, a nie do urzeczywistnienia w ówczesnej chwili. Wolałem wtedy – zamiast porywać się z motyką na słońce – postąpić zgodnie ze znanym powiedzeniem „tak krawiec kraje, jak mu materii staje” (Tadeusz Kotarbiński zaliczyłby tę maksymę do wytycznych swego realizmu praktycznego) i w trzy lata po ukazaniu się w PWN-ie *Logiki i języka*, tomu prac autorów zagranicznych w moim przekładzie i wyborze (1967), wydać zbiór rozpraw semiotycznych pióra autorów polskich, moich nauczycieli, kolegów, słuchaczy i uczestników moich, wówczas dwóch, seminariów. Nie nosił numeru porządkowego „tom pierwszy”, bo gdy zbierałem doń artykuły, nie planowałem przygotowania kolejnego tomu już nazajutrz, ani tym bardziej następnych tomów. Ów tom z roku 1970 zawierał teksty Władysława Tatarkiewicza i Jerzego Kuryłowicza, luminarzy filozofii i językoznawstwa, a oprócz tego prace moich młodszych kolegów, z którymi prowadziliśmy zajęcia z logiki na różnych wydziałach Uniwersytetu Warszawskiego: Barbary Stanoszowej, Witolda Marciszewskiego, Adama Nowaczyka, późniejszych profesorów filozofii, oraz artykuły filozofów lub logików spoza Warszawy, również późniejszych profesorów: Leona Koję, Jerzego Kmity, Leszka Nowaka, i nie tylko filozofów lub logików: historyka sztuki Włodzimierza Ławniczaka, romanisty Krzysztofa Bogackiego, których talent poznałem albo jako nauczyciel, albo promotor, egzaminator czy recenzent. Ów zbiór rozpraw miał więc charakter interdyscyplinarny i ogólnopolski, tematykę zaś semiotyczną. A że Polskie Towarzystwo Semiotyczne powstało w 1968 r., a zatem przed ukazaniem się „Studiów semiotycznych”, umieściłem jego nazwę u góry karty tytułowej i okładki. Było to dla PTS korzystne, bo oddawało publikację jako wydawnictwo jednego z towarzystw naukowych pod opiekę Polskiej Akademii Nauk, a zatem i jej oficjalnego Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Zapewniło to książce nie tylko prestiżową oficynę wydawniczą, ale i agendy tej znanej i zasłużonej instytucji: jej redaktorów i korektorów, drukarnię, introligatornię i dystrybucję gotowych egzemplarzy, autorom zaś – honoraria według stawek ustalonych przez PAN. Trzeba bowiem przypomnieć, że w tej komunistycznej epoce demokracji ludowej panował obyczaj bardziej kapitalistyczny niż obecnie: za artykuły naukowe się płaciło. I nie tylko za artykuły, ale

i za odczyty, a zamiejscowym za dojazd do Warszawy. Teraz też się płaci, tylko waluta uległa zmianie. Zamiast złotych – punkty w różnych rankingach: za liczbę cytatów, za to, że w obcych językach lub choćby z obcojęzycznymi streszczeniami, za to, że rada naukowa periodyku jest międzynarodowa, bo zasiadają w niej cudzoziemcy, choćby i nie znali języka prac, którym patronują, lub mieli niższe kwalifikacje naukowe niż ich polscy koledzy-redaktorzy i recenzenci.

Okazało się, że moje ówczesne obawy, iż może zabraknąć autorów pragnących powierzyć mi swoje artykuły, były zbyt pesymistyczne. Nastąpiła w tamtych latach moda na semiotykę. O zjawisku tym, jego przejawach oraz domniemanej genezie i przyczynach, pisałem we wspomnianym wstępie *Od wydawcy* do XXVII tomu „Studiów Semiotycznych”, w tym wypadku „Semiotycznych” przez duże „S”, bo z biegiem czasu zaczęły się podawać za czasopismo. Gdy w roku 1969 ukończyłem pracę edytorską nad „Studiami semiotycznymi” i tom został przekazany do Ossolineum, ciągle napływały do mnie artykuły z propozycją, abym je w „Studiach” umieścił. Oprócz tego na moich seminariach przybywało odczytów, których skrypty uważałem za godne opublikowania. I tak, niejako pod naporem materiałów w pęczniejącej tece redakcyjnej, narodziła się pokusa, aby przygotować drugi tom „Studiów”, nadal jednak traktowany przez mnie jako wybór tekstów semiotycznych, a nie kolejny numer czasopisma. Także i w tym tomie nie zabrakło nazwisk powszechnie znanych: przyjęli moje zaproszenie profesorowie Izydora Dąbska, Władysław Tatarkiewicz i Mieczysław Wallis. Sprawny zespół Ossolineum szybko ukończył opracowanie redakcyjne, tak że książka ukazała się z datą 1971, o rok późniejszą niż poprzedni tom „Studiów” i pod tym samym tytułem, tyle że opatrzonym numerem II. Dla zaznaczenia, że tom drugi jest kontynuacją wyboru artykułów semiotycznych zachowałem układ przyjęty poprzednio. Utrzymałem więc wstęp *Od wydawcy*, a w nim zaczątek kroniki semiotycznej: wspomnienie o zmarłym 14 czerwca 1970 roku Romanie Ingardenie i Jego wkładzie do semiotyki oraz o osiemdziesiątej piątej rocznicy urodzin Tadeusza Kotarbińskiego i Władysława Tatarkiewicza, a siedemdziesiątej – Janiny Kotarbińskiej i o związkach każdego z nich z semiotyką. W ten sposób we wstępie *Od wydawcy* została zapoczątkowana tradycja umieszczania zapisków kronikarskich oraz – tak jak w poprzednim tomie – przeglądu zawartości książki i wzmianek o autorach artykułów.

Choć dwutomowa antologia „Studia semiotyczne” ukazała się i pracę nad nią uważałem za ukończoną, nadal przysyłało mi nowe artykuły. Trudno było odmówić ich opublikowania, nie mogłem zaś pozwolić, aby leżały odłogiem. Przy tym wydarzenia w ruchu semiotycznym, zarówno polskim (powstanie PTS w 1968) i międzynarodowym (powstanie w r. 1969 Association Internationale de Sémiotique – International Association for Semiotic Studies), o czym pisałem we wstępie *Od wydawcy* do XXVII tomu „Studiów Se-

miotycznych” (2010), przyczyniły się do wzrostu zainteresowania semiotyką. Jednym z tych wydarzeń było utworzenie z mojej inicjatywy Zakładu Semiotyki Logicznej (1971) w Instytucie Filozofii UW. Zakład ten został wyodrębniony z Zakładu Logiki, kierowanego przez prof. Janinę Kotarbińską, która mój wniosek poparła. Pracownicy nowo powstałego Zakładu, w ich liczbie i ja jako jego kierownik, należeli poprzednio do zespołu Zakładu Logiki UW, przymiotnik więc w nazwie „Semiotyka Logiczna” nawiązywał do genezy tej placówki i do tego, że ci pracownicy Zakładu Logiki, a właściwie dwóch zakładów – drugi po Kazimierzu Ajdukiewiczzu objął Roman Suszko – którzy interesowali się logiką języka i filozofią języka, zaczęli czynnie uczestniczyć w działalności Zakładu Semiotyki Logicznej, a więc we wspólnych jego zebraniach naukowych oraz w moich piątkowych seminariach połączonych z zebraniem Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, a także w publikacjach semiotycznych. Ale ponadto – muszę to powtórzyć przez wzgląd na młodszych Czytelników, którym realia owego okresu nie są znane – jeszcze jedno przemawiało za terminami „logika” i „logiczna” jako członami nazwy przedsięwzięć oraz instytucji: ich użycie zapewniało wtedy alibi polityczne, tarczę ochronną i zwolnienie od cytowania nazwisk i wypowiedzi klasyków marksizmu-leninizmu i marksizmu-stalinizmu. Azyl dla logiki powstał na skutek oświadczenia złożonego w krótkotrwałym okresie „odwilży” ideologicznej przez byłego prokuratora generalnego ZSRR, oskarżyciela w stalinowskich procesach pokazowych, gwarantujących przykładowe ukaranie śmiercią, a następnie ministra spraw zagranicznych, Andrieja J. Wyszyńskiego, który ogłosił, że logika i matematyka nie należą do dyscyplin ideologicznych. Odtąd więc w krajach „obozu” mogły zmartwychwstać logiczna zasada sprzeczności i prawo wyłączonego środka, a na obszarze nauk formalnych przestała obowiązywać dialektyczna jedność przeciwieństw. Dziś, w zmienionej sytuacji, może należałoby pomyśleć o nazwie np. „Zakład Semiotyki Teoretycznej”, jako bardziej zgodnej z faktycznym charakterem tej katedry i jej działalnością.

Jednocześnie z powołaniem Zakładu Semiotyki Logicznej UW uzyskałem zgodę na wprowadzenie na Uniwersytecie Warszawskim zajęć dydaktycznych pod nazwą „semiotyka logiczna”: wykładu, ćwiczeń i seminariów. Wykład i ćwiczenia pojawiły się w siatce godzin wszystkich kierunków humanistycznych, w szczególności na wydziałach filologicznych. Novum to spotkało się z życzliwym przyjęciem, czemu sprzyjała atmosfera owych czasów i żywe, nie tylko w środowisku warszawskim, tradycje Szkoły Lwowsko-Warszawskiej: wielu studentów uczyło się filozofii z *Elementów* i innych pism Tadeusza Kotarbińskiego, który był zwolennikiem zastąpienia zajęć z logiki formalnej zajęciami z logiki ogólnej na humanistyce, z wyjątkiem tzw. filozofii ścisłej. Owa logika ogólna składała się z semantyki w szerokim sensie, czyli semiotyki wraz z domieszkami ontologii, elementów teorii poznania, a wśród

nich domieszek psychologii, wreszcie z metodologii nauk, a więc i składników pragmatyki. Z kolei Kazimierz Ajdukiewicz, zrazu w Poznaniu, później w Warszawie przygotowywał, a następnie wydał swój zbiór rozpraw *Język i poznanie*, a teorię poznania uprawiał, stosując metody semantyczne (tzw. semantyczna teoria poznania) i pragmatyczne (*Logika pragmatyczna*). Podobne sympatie teoretyczne objawiali inni uczniowie Kazimierza Twardowskiego, np. Tadeusz Czeżowski. Izydora Dąmbska zajmowała się m.in. starożytną semiotyką grecką. Problematykę semiotyczną uprawiali też uczniowie uczniów Twardowskiego: Maria Kokoszyńska-Lutmanowa, Janina Kotarbińska, Maria i Stanisław Ossowsky, Mieczysław Wallis, Henryk Hiż. Także poza Szkołą Lwowsko-Warszawską szeroko uwzględniano zagadnienia semiotyczne, np. w rozważaniach i publikacjach fenomenologów, z Romanem Ingardenem jako głównym przedstawicielem tego kierunku w Polsce.

Wprowadzając w latach sześćdziesiątych zajęcia z semiotyki logicznej i umieszczając na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w strukturze uczelni Zakład Semiotyki Logicznej, Polskie Towarzystwo Semiotyczne wśród towarzystw naukowych pod egidą Polskiej Akademii Nauk, „Studia semiotyczne” zaś i w r. 1990 serię Biblioteka Myśli Semiotycznej wśród wydawnictw naukowych, wreszcie – z początkiem lat dziewięćdziesiątych – „Nauki o poznaniu i komunikacji” na urzędowej liście dyscyplin, w których nadaje się stopnie doktora, doktora habilitowanego i tytuł naukowy profesora, liczyłem na to, że człony tej szóstki będą się wzajem wspomagały. Takie współdziałanie uważałem za konieczne, gdyż sądziłem, że poszczególne elementy tego zbioru są jeszcze za słabe, aby przetrwały bez wsparcia ze strony każdego z pozostałych. I po części się powiodło, a po części doznałem zawodu. Zakład Semiotyki Logicznej nadal istnieje i funkcjonuje, a i w innych uczelniach wyższych powstały pokrewne jednostki i zajęcia dydaktyczne. Biblioteka Myśli Semiotycznej posłuchała widocznie wezwania „*crescite et multiplicamini*” i składa się – jak dotychczas – z pięćdziesięciu czterech książek; przybywa też tomów „Studiów Semiotycznych”, a mam nadzieję, że także w przyszłości będą wychodziły, czego im życzę. Choć to zakrawa na paradoks, także w tym, że dziś szala się przechyla w kierunku kognitywistyki, a nawet w nastaniu w Polsce badań i mody na kognitywistykę, która traktuje siebie – niesłusznie moim zdaniem – jako rywalkę semiotyki, upatruję impuls i cząstkowy sukces zainteresowań oraz instytucji semiotycznych, skoro badania z zakresu semiotyki obejmują problematykę m.in. semantyki i pragmatyki, a w kognitywistyce wiodą prym semantyka i pragmatyka, właśnie więc to, co jest jądrem poznania i komunikacji. Natomiast zawód spotkał moją wspomnianą inicjatywę z początków lat dziewięćdziesiątych w sprawie nadawania stopni naukowych i tytułu naukowego z „Nauk o poznaniu i komunikacji”. Nie wszyscy zrozumieli moje intencje i pierwotną nazwę po kilku czy kilkunastu latach przeinaczyli w niewłaściwym kierunku; do na-

zwy „nauki o poznaniu i komunikacji” dodali przydawkę „społecznej”. Górale z Podhala by powiedzieli, że pierwotny termin „wyonacyli”, to znaczy: zmieniając, popsuli. Niefortunny dodatek słowa „społecznej” wprowadził zamieszanie i zrodził wątpliwości; niejedni myśli: może chodzi o jakiś dział socjologii, a może o badania nad mediami: prasą, radiem, telewizją oraz Internetem, lub nawet nie o żadne badania, lecz zgoła o tytuły naukowe dla rzemieślników: perukarzy, charakteryzatorów, wizażystów, nauczycieli gestykulowania oraz pozowania do fotografii. W każdym razie mało jest zainteresowanych ubieganiem się o stopień naukowy lub tytuł naukowy z tego zakresu pod tą nazwą. Przypuszczam, że dzieje się tak z kilku powodów: filozofów uprawiających filozofię języka bardziej pociąga stopień naukowy z filozofii, a lingwistów semantyków – stopień czy tytuł z językoznawstwa; zwyciężają tradycyjne dyscypliny albo to, że zakresy ich nazw są nadrzędne w stosunku do zakresu „nauk o poznaniu i komunikacji” lub że zakresy te się krzyżują.

Zazwyczaj między wzrostem zainteresowań w jakiejś dziedzinie wiedzy a powstawaniem odpowiednich instytucji występuje wzajemne oddziaływanie. Tak też, wydaje się, było w omawianej sprawie. Za narodzinami na świecie semiotycznych towarzystw naukowych, skupiających ludzi, którzy uprawiają wspólne pole badawcze, szło organizowanie sympozjów i kongresów, a więc okazji do przedstawiania i wymiany wyników osiągniętych przez uczestników spotkań, to zaś z kolei stawało się bodźcem do wzmożenia przez nich aktywności badawczej, pisarskiej i wydawniczej. Okoliczności te sprzyjały m.in. powstawaniu czasopism semiotycznych. Patrząc wstecz, myślę, że był to dla mnie jeden z motywów, aby kontynuować wydawanie dalszych tomów „Studiów semiotycznych”, skoro były na to pieniądze od sponsora państwowego i „moce produkcyjne”, mianowicie podaż artykułów, oraz instytucja wzorowo wykonująca zadania techniczno-organizacyjne i dystrybucyjne – Ossolineum. W Polsce, a podobnie zapewne i w innych krajach demokracji ludowej, dodatkowymi czynnikami okazały się dla autorów i prelegentów, jak przypuszczam, nadzieje na zarobek w postaci honorarium za publikację, na kontakty z kolegami zza żelaznej kurtyny, na osobiste poznanie badaczy znanych przedtem tylko z lektury, a jeśli szczęście dopisze, nawet na darmowy lub lukratywny wyjazd na Zachód: na sympozjum, kongres, staż czy stypendium. Przykładów dostarczały wyjazdy semiotyków polskich, indywidualne lub grupowe, do różnych krajów Europy i do obu Ameryk oraz do Indii i na Bliski i Daleki Wschód. Dzięki nawiązanym tam kontaktom na konferencjach w Polsce, dawniej zwanych międzynarodowymi, bo uczestniczył w nich choćby jeden Czech, Węgier, Rosjanin czy NRD-owiec, zaczęli się zjawiać przybysze nie tylko zza miedzy, ale i z odległych krajów. Część danych o tej wymianie naukowej z zagranicą zamieściłem w niektórych moich wstęпах *Od wydawcy*, jak również w niektórych *Kronikach semiotycznych*. In-



formację o wkładzie cudzoziemców zawierają też obszerne indeksy opracowane przez Ewę Likus w XXV tomie „Studiów”.

W Polsce początku lat siedemdziesiątych XX wieku wyglądało na to, że rozpoczyna się okres trwałej poprawy sytuacji bytowej, oczywiście na miarę PRL-owską, według której samochód z NRD marki Wartburg uchodził za luksusowy import z Zachodu. Pomyślałem więc, że powstały warunki, by kontynuować „Studia semiotyczne” jako wydawnictwo ciągle nieperiodyczne. Nie wymagało to uzyskania zgody urzędu przy ul. Mysiej w Warszawie ani innych zabiegów formalnych. Natomiast przybył mi na wiele lat nowy obowiązek. Głównym problemem stało się recenzowanie prac proponowanych do opublikowania. Ich dopływ nie malał. O recenzje zaś było trudno. Owszem, instytucje naukowe i wydawnictwa miały fundusze na recenzowanie prac, ale przede wszystkim dysertacji doktorskich lub habilitacyjnych i całokształtu dorobku naukowego oraz dydaktycznego kandydatów bądź książek złożonych do opublikowania. Stawki honorarium zależały od objętości recenzowanego dzieła. Za artykuł były to małe sumy, a i tak zbyt wysokie jak na możliwości zarówno Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, utrzymującego się z leniwie wpływających składek, jak Zakładu Semiotyki Logicznej, który nie otrzymywał na ten cel żadnej dotacji. Recenzenci albo odmawiali, albo – otrzymawszy bardzo niskie wynagrodzenie – czuli się dotknięci, upatrując w tym lekceważenie ich kwalifikacji. W najlepszym razie i w wyjątkowych wypadkach dawali się uprosić, traktując swą pomoc jako wyświadczoną mi osobistą przysługę. Rad nierad, a najczęściej nierad, wzięłem więc ciężar oceniania artykułów na siebie, mając przy tym w pamięci przedwojenną definicję docenta jako osoby mającej prawo do obowiązku bezpłatnego nauczania na uczelni wyższej. I tak oto powstał następujący mechanizm: spośród odczytów wygłaszanych na moich seminariach wybierałem te, które moim zdaniem zasługiwały na opublikowanie, a jeśli autor przyjął moją propozycję, czytałem pracę, i nie pisząc formalnych recenzji, odnotowywałem sobie dla pamięci główne uwagi oraz w razie potrzeby proponowałem autorom zmiany. Najczęściej wymagało to wystukiwania listów niewprawną ręką na maszynie, wysyłania ich pocztą i czekania na korespondencyjną odpowiedź: kontaktów telefonicznych z autorami przeważnie nie miałem, Internetu i listów elektronicznych wtedy, w latach siedemdziesiątych, nie było, a pomocy sekretarskiej dla pracowników naukowych na uczelniach nad Wisłą, Odrą i Bałtykiem nie ma, nie było i nie będzie. Przypominam sobie dyskusje, czy raczej rokowania, z autorami, którym doradzałem jakieś zmiany: taka rozmowa wymaga kunsztu dyplomatycznego i znajomości natury gatunku „*homo universitensis*”, zwłaszcza jego polskiej odmiany. Zdaję sobie sprawę, że rozwiązanie, które mi podsunęła konieczność, dalekie jest od ideału, ale mimo wszystko wydaje mi się lepsze niż praktykowane teraz tzw. „recenzje” na formularzu złożonym z pytań, typu „czy praca jest oryginalna”, „czy sa-

modzielna”, „czy wnosi nowe rozwiązania” i krótko na „odfajkowanie” odpowiedzi, co w sumie tyle jest warte, ile wypełnianie testów zamiast porządnego egzaminu, jak Pan Bóg przykazał. Na szczęście renomowani redaktorzy tzw. „stylistyczni”, a faktycznie i gramatyczni, i ortograficzni, i interpunkcyjni, aby uczynić zadość memu niememu błaganu „wstydu oszczędź”, dbali o resztę, to jest o szatę słowną i postać typograficzną. Oprócz prac, które pochodziły z moich seminariów, napływały oczywiście i inne. Mechanizm działał sprawnie: „Studia semiotyczne” ukazywały się regularnie co roku, na ogół bez opóźnień. Pierwsze nastąpiło w opublikowaniu tomu VII, którego datą wydania jest 1977, zamiast o jeden niższej, wynikającej z cyklu rocznego. Zwłokę spowodował mój pobyt w roku akademickim 1974–1975 w Netherlands Institute for Advanced Study in the Humanities and Social Sciences. Opóźnienie to, choć obnażyło wadę jednoosobowego sterowania „Studiami”, nie skłoniło mnie jednak do podjęcia starań, aby opiekę nad nimi przekazać zespołowi. Z drugiej bowiem strony udział w różnych komitetach i radach redakcyjnych podpowiadał mi, że ciała te mają na ogół charakter ornamentacyjny i nie zapewniają faktycznej pomocy osobie, która dźwiga ciężar wydawnictwa; często bywa to sekretarz redakcji czy asystent redaktora, który został wyłącznie w tym celu zatrudniony i jest opłacany za swą pracę. W jednym zakresie pomoc i współpraca okazała się niezbędna: w informowaniu o stale się rozwijającym ruchu semiotycznym na świecie. Informacje takie były potrzebne. W dobie przedinternetowej docierały powoli, przeważnie jako zaproszenia *ad personam* na jakieś imprezy semiotyczne albo jako anonse wydawnictw i reklamy książek; przesyłano mi je drogą pocztową, a wtedy list lotniczy np. z USA wędrował i dwa tygodnie. Wprawdzie zbiór tych informacji powstawał w sposób przypadkowy: ale chyba nie ominęły mnie przynajmniej co ważniejsze z nich, a nie słyszałem, aby w tamtych latach ktoś inny, jakiś zespół bibliografów lub instytucja gromadziły tego rodzaju dane. Zbieranie materiałów kronikarskich, przechowywanie ich przez rok w moim małym prywatnym mieszkaniu, porządkowanie i spisywanie wymagało mozolnej długotrwałej pracy. Ich objętość rosła, w miarę jak mnożyły się na świecie stowarzyszenia semiotyczne, konferencje i publikacje, toteż gdy w X tomie „Studiów” część kronikarska osiągnęła 23 strony i zaczęła rozsądzać ramy wstępu *Od wydawcy*, zdecydowałem się wyłączyć ją z niego i utworzyć osobny rozdział, który w tomie XI liczył już 47 stron. Stan wojenny spowodował przerwę w dopływie wiadomości o semiotyce „za żelazną kurtyną”, a i te z „bratnich krajów socjalistycznych” cenzura przetrzymywała długo. Opracowanie kronik semiotycznych pochłaniało coraz więcej czasu, innych zaś zajęć mi przybywało. Niektóre, jak wybór do Comité Directeur des Sociétés de Philosophie oraz na wiceprzewodniczącego, a w 1984 roku na przewodniczącego Institut International de Philosophie, a także (w tym samym roku) na przewodniczącego International Association

for Semiotic Studies, wymagały nie tylko rozległej korespondencji i przygotowywania przemówień w językach obcych, co w naszych warunkach polegało na pisaniu przeze mnie dwoma palcami na maszynie listów i wystąpieniach – z kopiami przez brudzącą kalkę – lecz także wystawiania w kolejkach na pocztę, a gdy nadchodziły zaproszenia z zagranicy, także pielgrzymowania do różnych decydentów: po pieniądze na koszty podróży, po bilety lotnicze, z wnioskiem o paszport, po odbiór paszportu, który niekiedy, owszem, był gotów, ale dopiero po dacie spotkania zagranicą. Korowody administracyjne przed takim kilkudniowym wyjazdem na „delegację zagraniczną” zabierały i po kilka tygodni. Z kolei po przełomowym roku 1989 przyszła kolej na nowe zobowiązania w Polsce, mianowicie jako przewodniczącego kilku zespołów: Komitetu Nauk Filozoficznych PAN, Centralnej Komisji do Spraw Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych, Sekcji Autorów Dziel Naukowych Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, Komitetu Etyki w Nauce przy Prezydium PAN, wiceprezesa Kasy im. Mianowskiego, członka Zarządu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego itd. Przy tym, mimo że od października 1994 r. przeszedłem na emeryturę, nadal prowadziłem zajęcia dydaktyczne, aż do maja roku 2010, co wprawdzie zapewniło mi rekord długości pracy na Uniwersytecie Warszawskim, trwającej od 31 stycznia 1945 r., i uskładanie sobie stosunkowo wysokiej emerytury, ale na pewno nie dodawało czasu. W tej sytuacji, trwającej przez ostatnie trzydzieści lat mojej pracy zawodowej, zdałem sobie sprawę, że muszę się rozejrzeć za częściową wyręką oraz pomocą. I młodszy koledzy tej pomocy mi nie odmówili, co z wdzięcznością wspominam i odnotowuję.

Tak więc, wówczas adiunkt Zakładu Semiotyki Logicznej, a od lat dziewięćdziesiątych profesor, doktor Jacek J. Jadacki, podzielił się ze mną miłą pracą opracowania części *Kroniki semiotycznej* w XIV–XV tomie (1985) „Studiów”. I była to ostatnia *Kronika semiotyczna* w „Studiach”. Liczyła przeszło sześćdziesiąt stron, wypełniła więc jedną szóstą objętości książki. Rozmach semiotyki tak dalece rósł na świecie, że rejestrowanie wydarzeń w tym zakresie groziłoby zburzeniem właściwych proporcji: „Studia” mogłyby się stopniowo stawać dodatkiem do *Kroniki*. Dzięki pieniądзом zarobionym przez projekt Z-J-R powstała nowa seria wydawnicza Biblioteka Informacji i Dokumentacji Semiotycznej (zob. mój wstęp *Od wydawcy* w tomie XVIII „Studiów”, s. 5). Zaproponowałem doktorowi Jadackiemu, aby w tej serii rozpoczął wydawanie osobnych zeszytów „Polskiego Biuletynu Semiotycznego”, w którym znalazłyby się informacje o ruchu semiotycznym na świecie, takie jak umieszczone dotychczas w *Kronice semiotycznej*, oprócz tego zaś zeszytów złożonych ze streszczeń niektórych ukazujących się publikacji o treści semiotycznej, zarówno książek, jak artykułów. Na odwrocie okładki tytułowej XVI–XVII tomu „Studiów” został ogłoszony stosowny apel o nadsyłanie informacji do PBS. Jacek Jadacki podjął się obu zadań. W roku 1990 czytelnicy otrzymali

polską wersję „Polskiego Biuletynu Semiotycznego”, opracowaną przez Ewę Dorobińską i Pawła Więckowskiego, nad którymi opiekę redaktorską rozłożył Jacek Jadacki, podobnie jak nad wersją angielską z roku 1991, opracowaną przez Tomasza Jordana i Pawła Więckowskiego. W następnym roku, 1992, dr Jadacki przystąpił do redagowania zeszytów pt. „Sygnały Semiotyczne – Streszczenia Prac z Dziedziny Semiotyki”, a pomagała mu p. Elżbieta Olender-Dmowska zatrudniona we wspólnej Bibliotece Instytutu Filozofii UW, Instytutu Socjologii UW oraz Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, zawierającej także zbiory Polskiego Towarzystwa Filozoficznego i Polskiego Towarzystwa Semiotycznego oraz księgozbiór Kazimierza Twardowskiego. Dyrektorem tej Biblioteki był wówczas mgr Janusz Siek. Ukazało się kilka zeszytów „Sygnałów Semiotycznych”: pierwszy w roku 1992, piąty – w 2001. Mimo że czytanie *Kroniki semiotycznej* ani jej kontynuacji nie jest zajęciem pasjonującym, zachęcam do tej lektury każdego, kto szuka informacji o tym, co się działo w semiotyce w erze przedinternetowej. Jednak pod koniec okresu obejmującego kontynuację *Kroniki* zbieranie tego rodzaju danych stopniowo traciło sens, a to z dwóch powodów: tak szybko rozrastała się semiotyka, że szanse na zgromadzenie wiadomości zbliżonych do kompletu malały z każdym dniem, w miarę zaś potężnienia Internetu chałupnicze metody kumulowania, utrwalania i przekazywania informacji stawały się anachronizmem. Zamiast takiego amatorskiego kolekcjonowania powinno powstać międzynarodowe Centrum Biograficzne i Bibliograficzne, np. przy International Association for Semiotic Studies, mające za zadanie fachowe gromadzenie danych z tego zakresu i publikowanie ich w kilku językach. Byłoby to cenne źródło wiedzy dla historyków nauki i nauczania.

Spojrzenie na okładki „Studiów semiotycznych” pozwala zauważyć, że na okładce wspomnianego ich tomu XVI–XVII z r. 1990 po raz ostatni figuruje nazwa: „Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk”. „*Non semper erunt Saturnalia*”: zniknięcie napisu było następstwem i oznaką zakończenia patronatu, a zatem i subsydiowania publikacji. Kurek z pieniędzmi zakręcono już parę lat wcześniej, wraz z ogłoszeniem stanu wojennego i nastaniem epoki butelek octu zapelniających półki sklepów spożywczych. W roku 1989 zaświtała jutrzeńska swobody, ale od dawna zaszło słońce dotacji. Rynek zażądał respektowania swych praw. W tej sytuacji zdobycie pieniędzy stało się palącym zadaniem. Jako koło ratunkowe posłużyły tzw. programy badań podstawowych, później przemianowane na „projekty badań”. W Polsce wprowadzono je, wzorując się na zachodnim systemie rozdzielania tzw. „grantów”, czyli subwencji na badania naukowe. Istotą tego systemu było płacenie z góry za wykonanie konkretnego zadania badawczego, a raczej zadatkowanie go, ale do rozliczenia po określonym terminie, zamiast przyznawania stypendiów naukowcom na ich badania, bliżej nie określone, czy ogólny rozwój naukowy. Postanowiłem skorzystać z tej

okazji, ale jej realizacji nadać szerszy zasięg, większy rozmach i dłuższy żywot. Podczas gdy na ogół ubiegano się o granty na rok lub dwa lata i często występowała o nie dla siebie jedna osoba, zdecydowałem się złożyć projekt badań „Znak – Język – Rzeczywistość”, przewidzianych na wiele lat, tyle że porozdzielany na etapy dwuletnie, z których każdy – pod inną nazwą – został poświęcony wykonaniu kolejnej części programu Z-J-R przez grupę wykonawców dobieranych według wymagań kolejnego aktualnego zadania. Informuje o tym wstęp *Od wydawcy* w tymże tomie XVI–XVII (1990) „Studiów” na stronach 5–8. Z odsieczą pospieszyli koledzy profesorowie z jedenastu polskich instytucji naukowych: Jan Białostocki, Andrzej Bogusławski, Wojciech Buszkowski, Maciej Grochowski, Wiktor Grygorenko, Alicja Helman, Antonina Kłoskowska, Leon Koj, Ida Kurcz, Grzegorz Sinko, Tadeusz Zgółka i dyrektor naszej Biblioteki Janusz Siek. Utworzyliśmy Zespół Koordynacyjny wieloletniego tzw. Resortowego Programu Badań Podstawowych: „Doskonalenie narzędzi poznania i komunikacji: Znak – Język – Rzeczywistość”. Jako kierownik tego programu ulokowałem go przy Uniwersytecie Warszawskim. Przepisy bowiem wymagały, aby w rozliczeniu wykonania zadania jakaś instytucja naukowa, uczelnia albo placówka PAN-u bądź towarzystwo naukowe pośredniczyły między kierownikiem projektu jako wykonawcą a Ministerstwem Nauki jako sponsorem. W ciągu pierwszych miesięcy działalności programu Z-J-R chęć uczestniczenia w jego realizacji zadeklarowało ponad osiemdziesiąt osób z dwunastu polskich jednostek naukowych. Reprezentowanych było dziewiętnaście dyscyplin. Odtąd nazwa „Znak – Język – Rzeczywistość” zaczęła figurować na okładce i stronie tytułowej „Studiów”. Z powodów formalnych i genetycznych powinna by występować obok napisu „Uniwersytet Warszawski”, skoro to właśnie UW wybrałem jako pośrednika czy patrona, ale ze względów praktycznych, poczynając od XVIII tomu „Studiów” (1993), widnieje nad nią „Polskie Towarzystwo Semiotyczne”. Jakież to były te względy praktyczne? Otóż przepisy przewidywały, że dobra trwale zakupione za pieniądze z grantu wykonawcy projektu otrzymują niejako w dzierżawę i tylko na czas jego realizowania. Natomiast po wykonaniu zadania, rozliczeniu otrzymanych środków i uzyskaniu „absolucji” od sponsora dobra te, np. sprzęt elektroniczny i książki, przechodzą na własność instytucjonalnego patrona-pośrednika. Rozwiązanie to wydało mi się w sytuacji wykonawców projektu Z-J-R niesprawiedliwe, gdyż nie wszyscy byli pracownikami Uniwersytetu Warszawskiego, a w szczególności – Instytutu Filozofii UW, do którego inwentarza zostałoby wpisane wyposażenie zapracowane przez nich jako realizatorów Z-J-R. Natomiast w większości byli to członkowie Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, a w każdym razie badacze uprawiający semiotykę. Ponadto Instytut Filozofii UW jest bogaczem w porównaniu z Polskim Towarzystwem Semiotycznym. Dla IF UW, czy formalnie dla Wydziału Filozofii i Socjologii UW, jeden komputer czy epidia-

skop stanowiłby drobną cząstkę stanu posiadania, a dla PTS był to majątek. Dlatego wówczas uznałem, że słuszny byłby wybór Towarzystwa na patrona i pośrednika projektu Z-J-R, mimo że pociągał za sobą obciążenia administracyjne i finansowe, jak konieczność zatrudnienia księgowej i dodatkowe wymagania formalne. Tak doszło do tego, że PTS stało się *lege artis* posiadaczem *copyright* wydawnictw, które utworzyłem. Ale nie projektu „Doskonalenie narzędzi poznania i komunikacji: Znak – Język – Rzeczywistość”. Projekty badań zgłaszają poszczególni pracownicy; oni też je realizują – samodzielnie lub kierując zespołem, który powołali. Jak się to teraz mówi, są to ich „autorskie” projekty i badania. Z chwilą, gdy zostają wykonane lub zamknięte, przestają istnieć. A zatem w tym konkretnym wypadku Z-J-R znikła z pola, skoro ja rezygnuję z jego kontynuowania. Wspominam o tym ze względów formalnych: odpowiedni napis nie powinien nadal występować na okładkach „Studiów Semiotycznych”, gdyby nadal wychodziły, czego bym oczywiście pragnął. Ostatni tom z tym napisem jest to ich numer XXVIII–XXIX, zamykający serię tomów, które noszą moje imię i nazwisko jako tego, kto na przestrzeni półwiecza „wydał i wstępem opatrzył” te książki. Oczywiście byłbym szczerze rad, gdyby badania o tematyce Z-J-R nadal trwały, prowadzone przez moich następców. Może pod zmienioną nazwą: nie dlatego, że jest to prawnie zastrzeżony „*trade mark*”, znak firmowy. Raczej dlatego, że jak się okazało, nasze dotychczasowe badania koncentrowały się na semantyce i pragmatyce, nie zaś na syntaktyce, a pierwsza relacja, Z-J, znak – język, kładzie nacisk na stosunki syntaktyczne. Pozostawiłem ją, pragnąc zaakcentować, jak ważny dla uprawiania semiotyki jest udział językoznawców.

Wybór Polskiego Towarzystwa Semiotycznego na patrona-pośrednika relacji między projektem Z-J-R a Ministerstwem został wtedy podyktowany do-  
różną potrzebą: PTS nie miało pieniędzy – nawet na drobne bieżące wydatki – a źródłem pieniędzy były projekty badań, oczywiście pod warunkiem, że: a) projekt będzie zespołowy, co zapewni wyższą dotację, a nie jednoosobowy lub dwuosobowy, nastawiony na podwyższenie swym realizatorom przez rok lub dwa ich miesięcznych wynagrodzeń lub obdarowanie ich np. laptopem; b) odpowiednio dużą częścią przyznanego grantu pozostanie gotówka, a nie dobra trwałe, jak sprzęt elektroniczny, meble itp., zakupione za nią; c) kierownik projektu nie rozda tej gotówki między wykonawców zadań, jak się często zdarzało, lecz zasilił ją kasą patrona-pośrednika. Wskazanie PTS jako patrona projektu Z-J-R miało jednak na dłuższą metę i ma nadal swoje poważne wady. Towarzystwo jest instytucją za słabą, aby samodzielnie mogło stanowić wystarczający fundament dla naukowych poczynań semiotycznych w Polsce. Nieporównanie solidniejszą tarczę instytucjonalną zapewniłby uniwersytecki lub PAN-owski Instytut Filozofii. I mając na względzie nie chwilę bieżącą tylko, lecz wieloletnią działalność naukową i popularyzatorską Towarzystwa, warto by było mieć silniejszego protektora i trwałą ostoję – nawet

za cenę haraczu w postaci przekazywania patronującemu Uniwersytetowi wyposażenia zarobionego za wykonanie zadań badawczych na poszczególnych etapach. A jeszcze przezorniej byłoby powiązać z sobą sojuszami różnych członów: zarówno instytucje, Zakład Semiotyki Logicznej i Polskie Towarzystwo Semiotyczne, jak również różne rodzaje działalności: badawczą, dydaktyczną, popularyzatorską i biblioteczną. W tym zakresie ściśle współdziałanie placówki uniwersyteckiej z towarzystwem naukowym, mianowicie PTS, w latach 1971–1994 połączonych unią personalną, było dla obu partnerów niezwykle korzystne. Podobnie wspólne odbywanie posiedzeń naukowych i wspólne gromadzenie zbioru książek oraz wspólna realizacja innych zadań, m.in. wydawniczych. Należy pamiętać o tym, że nie ma już wśród nas koryfeuszów Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, których osiągnięcia, pozycja naukowa, dorobek, przykład, wskazówki i światowy autorytet zapewniały poczynaniom ich uczniów i następców przychylną oraz zaufanie ze strony otoczenia i szerokiej publiczności. Dziś, gdy nie istnieje owo spoiwo i podpora, brak ten trzeba wyrównać zdwojoną pracą zespołową, nie oglądając się na własne korzyści materialne i ambicjonalne jednostek oraz umiejącą pokonać naszą niezdolność do harmonijnego, zgodnego, wydajnego i skutecznego współdziałania.

Z myślą o tych przyszłych staraniach i wysiłkach wydobyłem z dziejów „Studiów Semiotycznych” to, co może się okazać przydatne ich kontynuatorom, jeżeli takowi się znajdą. Do rzeczy przypomnianych dorzucę następującą, bardzo ważną: „Studia Semiotyczne”, a tak samo Biblioteka Myśli Semiotycznej od początku były przedsięwzięciem wspólnym. Jeżeli wolno im przypisać sobie pewne osiągnięcia, to dzięki wysiłkowi i pracy wielu osób: autorów, prelegentów, redaktorów, korektorów, drukarzy, bibliotekarzy. W ciągu mijającego półwiecza dziękowałem Im we wstępach *Od wydawcy*, a tym, którzy umarli – we wspomnieniach pozgonnych i nekrologach. Jednych i drugich wymieniają *Kroniki semiotyczne*, „Polski Biuletyn Semiotyczny”, „Sygnały Semiotyczne” oraz obszernie *Indeksy autorów i rozpraw w „Studiach”*. Pragnę im wszystkim, zarówno tym, których już nie ma wśród nas, jak żyjącym, raz jeszcze wyrazić wdzięczność.

Okres, który upłynął między ukazaniem się poprzedniego tomu „Studiów” a publikacją obecnego, dopisał do listy strat kolejne nazwiska. Spośród nich strata ludzi w naszym najbliższym otoczeniu jest wyjątkowo bolesna i w najdotkliwszym znaczeniu tego słowa niepowetowana. Mam na myśli śmierć przyjaciół: Mariana Przełęckiego (9 sierpnia 2013 r.), Andrzeja Grzegorzycy (20 marca 2014 r.) i Barbary z Zatrzybów Stanoszowej (7 czerwca 2014 r.). Po ich odejściu powstała wyrwa, puste nie do zastąpienia miejsce w krajobrazie filozofii i logiki: nie tylko warszawskiej, nie tylko polskiej.

Każde z wymienionych zmarłych gościło w „Studiach semiotycznych” lub w Bibliotece Myśli Semiotycznej.

W Bibliotece Myśli Semiotycznej zostały wydane książki Mariana Przełęckiego: w r. 1996 *Poza granicami nauki* (t. XXXIX), a w r. 2004 *Sens i prawda w etyce* (t. XLIX). W tomie L (2006) BMS znajduje się Jego wypowiedź *Co zawdzięczam Tadeuszowi Kotarbińskiemu*. Rozprawy trzydziestu pięciu kolegów z całego świata zebrane w tomie XXXII BMS (1994), *Nauka i język*, zadedykowanym Jubilatowi, zostały złożone Mu w darze, gdy przeszedł na emeryturę; znajduje się wśród nich i mój szkic do portretu Mariana. W jubileuszowym XXVII tomie „Studiów Semiotycznych”, który ukazał się w roku 2010, w czterdziestolecie Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, Marian Przełęcki opublikował swoje rozważania pt. *O rozumieniu wypowiedzi niedosłownych*. Poglądom Mariana Przełęckiego na reizm poświęciłem niemało miejsca w książce *Słowa „ulubione” – ulubione myśli*, która ma się na ukończeniu.

Barbara Stanoszowa opublikowała w BMS dwie książki: *10 wykładów logiki* w tomie XIX (1991) oraz *Logika języka naturalnego* w tomie XLIII (1999). Książka *Logiczne podstawy języka*, napisana wspólnie z Adamem Nowaczykiem (1976), na karcie tytułowej nosi nagłówek „Polskie Towarzystwo Semiotyczne” i stanowi zapowiedź, jeśli nie zaczątek, serii Biblioteka Myśli Semiotycznej wychodzącej od roku 1990. Ukazały się też w BMS Jej artykuły: *O pewnej zagadkowej metodzie nowoczesnego językoznawstwa* w tomie XXVI (1994), *Implikatury i intuicje* w tomie XXXII (1994), *Belkot i przesąd* w tomie XLVI (2000) oraz *Roman Suszko na Uniwersytecie Warszawskim* w tomie L (2006). W „Studiach semiotycznych” znajdują się Jej następujące artykuły: *O pojęciu języka prelogicznego* w tomie I (1970), *Kodeks języka naturalnego* w tomie II (1971), *Status poznawczy semantyki* w tomie V (1974), *O ustalaniu znaczeń nieznanego języka* w tomie VI (1975), *Teorie, modele i dane empiryczne w lingwistyce* w tomie X (1980), *Opis lingwistyczny a opis logiczny języka* w tomie XIX–XX (1994), *Rozwiązywanie paradoksów* w tomie XXV (2004). Występowała też jako prelegentka na dwunastu wspólnych posiedzeniach naukowych lub sympozjach międzynarodowych Polskiego Towarzystwa Semiotycznego i Zakładu Semiotyki Logicznej UW oraz w latach 1966–2002 wielokrotnie brała udział w dyskusjach podczas tych posiedzeń. Szczegółowe dane na ten temat można znaleźć w indeksach opracowanych przez Ewę Likus i opublikowanych w XXV tomie „Studiów” na stronach 411 i 528. Żegnam Ją w swoim *in memoriam*, zawartym w obecnym tomie.

Andrzej Grzegorzczak często przychodził na wspomniane zebrania, tradycyjnie o drugi lub trzeci kwadrans później niż wyznaczona godzina (z kwadranssem „akademickim”); nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, że posiedzenie już trwa od pewnego czasu, w każdym razie nie dawał tego po sobie poznać i pogodnie zasiadał na wolnym miejscu, a częściej na tym, którego mu ustępowano. Nieraz przerywał czyjś odczyt pytaniem skierowanym do prelegenta, chętnie brał udział w dyskusjach. Artykuły Andrzeja Grze-



gorczyka były drukowane w „Studiach”, mianowicie *Czy istnieje ścisłość poza wymaganiami logiki?* w tomie XXI–XXII (1998) oraz *Paradoksy i brak porozumienia* w tomie XXV (2004). Informują o tym indeksy w tomie XXV na s. 400. W Bibliotece Myśli Semiotycznej zostały opublikowane: *Dekalog rozumu* w tomie XXXII (1994) oraz *Władysława Tatarkiewicza „O bezwzględności dobra”*, pośmiertny zaś artykuł o nim pióra Stanisława Krajewskiego znajduje się w obecnym tomie „Studiów”. O Andrzeju pisałem także we wspomnianej mojej książce.

Z dala od swej rodzinnej Warszawy, w New Haven, umarł językoznawca Edward Stankiewicz (31 stycznia 2013 r.), emerytowany profesor Yale University, pomocny w Stanach Zjednoczonych semiotyce polskiej i jej adeptom, uczestnik międzynarodowego sympozjum semiotycznego w Radziejowicach, gdzie był jednym z trzech amerykańskich sygnatariuszy porozumienia w sprawie wymiany naukowej i współpracy w zakresie semiotyki między Zakładem Semiotyki Logicznej Uniwersytetu Warszawskiego a placówkami uprawiającymi semiotykę uniwersytetów Brown, Indiana i Yale, wykładający też gościnnie na Uniwersytecie Warszawskim. W tomie XXVI Biblioteki Myśli Semiotycznej z r. 1994 znajduje się Jego artykuł o częściach mowy w filozofii gramatyki, indeksy zaś w „Studiach semiotycznych” wymieniają pięć Jego odczytów wygłoszonych na krajowych i międzynarodowych sympozjach Zakładu Semiotyki Logicznej i Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, a w obecnym tomie zamieściłem swoje o Nim wspomnienie.

W Anglii umarł filozof i logik Peter Thomas Geach (21 grudnia 2013 r.), emerytowany profesor uniwersytetów w Leeds i przez pewien czas Cambridge; w tym drugim profesorem była jego żona, uczennica Wittgensteina, powszechnie nazywana Miss Anscombe, mimo że byli „ślubnymi” – jak Pan Bóg przykazał – rodzicami siedmiorga dzieci. Przyjaciel Polski, Anglik po ojcu, Polak zaś po matce, po polsku wygłaszał odczyty w Zakładzie Semiotyki Logicznej i Polskim Towarzystwie Semiotycznym oraz publikował w „Studiach semiotycznych” swe rozprawy, napisane niedzisiejszą polszczyzną, bo mowy matczynej uczył się z Biblii w przekładzie ks. Wujka; oddawał je do druku zawsze w rękopisie, bez skreśleń i poprawek, który krojem liter przypominał manuskrypty sprzed wieków. Jedną z jego rozpraw, *Nazwy i orzeczniki*, umieściłem w zbiorze *Semiotyka polska 1894–1969* (Warszawa 1971, PWN), wydanym następnie w przekładzie Olgierda Wojtasiewicza po angielsku wspólnie przez PWN i Reidel (1979). We *Wstępie* do tego zbioru powtórzyłem o polskim pochodzeniu P.T. Geacha to, co sam mi opowiedział. A że przypuszczam, iż *Semiotyka polska...* sprzed lat czterdziestu pięciu mało jest znana, poza tym zaś trudno dostępna, przypomnę fragment owego mego *Wstępu*, tym bardziej że historia to romantyczna i dla czytelników polskich wzruszająca:

Matki swej prawie nie pamięta, wychowywał się pod opieką ojca. Gdy jako mały chłopiec pobił się w szkole z którymś z kolegów, przeciwnik, aby mu dopiec do żywego, zawołał: 'Ty nie jesteś Anglikiem, tylko przeklętym Prusakim'. Po tym zajściu Geach zapytał ojca, czy faktycznie matka jego była Niemką. I wówczas dowiedział się, że to nieprawda: 'Twój dziadek – wyjaśnił ojciec – był obywatelem niemieckim, ale Polakiem'. W istocie dziadek Geacha ze strony matczynej, inżynier Sgonina, na parę lat przed pierwszą wojną światową emigrował z ojczyzno Pomorza do Anglii – wraz z rodziną. W domu ojcowskim Geacha nie mówiono o matce: rodzice rozeszli się, gdy Piotr Tomasz miał cztery lata. Dopiero na skutek owego starcia z kolegą, przypadkowo, dowiedział się o swym pochodzeniu. Minęły lata szkolne, Geach zbliżał się już do końca swych studiów uniwersyteckich w Oksfordzie. I właśnie wówczas wpadła mu w ręce książka Geoffreya Dennisa *Harvest in Poland (Dożynki w Polsce)*. Jej autor był gubernierem, który długie lata spędził na kondycji po dworach arystokracji polskiej, ucząc dzieci magnackie języków. W swych pamiętnikach wspominał ludzi i krajobraz, obyczaje i tradycje, polską gościnność, a także – nie dziwny się – polską kuchnię. A że w Polsce przeżył swą młodość i pierwsze wzruszenia miłosne, wspominał więc z sercem i żarliwie. Lektura tej książki wywarła na Geachu duże wrażenie. Ożyły w jego pamięci słowa owego przeciwnika z lat chłopięcych, jakieś zatarte obrazy z najwcześniejszego dzieciństwa, nawet parę polskich wyrazów zasłyszanych od matki. I niespodziewanie obudził się w nim żywy sentyment do kraju matczynego, do *motherland*. Zaczął się sam uczyć języka polskiego; po śmierci ojca, w pozostałych po nim papierach Geach znajduje cenną pamiątkę: gramatykę polską, z której jego matka uczyła się mowy ojczystej. Następnie kupuje podręczniki języka polskiego oraz polskie książki. Obecnie mówi i pisze po polsku bezbłędnie, językiem literackim, niekiedy okraszonym archaizmami. Niemal corocznie odwiedza Polskę. Szczyci się swym polskim pochodzeniem ze strony matki. Daje wyraz uczuciom patriotycznym – połową swego serca jest Polakiem. Gdy po drugiej wojnie światowej Ministerstwo Spraw Zagranicznych Niemieckiej Republiki Federalnej zaproponowało mu współpracę, odmówił ze względu na ówczesną rewizjonistyczną politykę rządu NRF w sprawie polskich Ziemi Zachodnich. Na książkę *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego* zareagował wzruszającym listem, w którym pisze m.in., że chodząc po Krakowie, kiedy widział, jak polskie dzieci bawią się na Plantach pod polskim Wawelem, myślał o tym, że nie poszły na marne męczeństwo i śmierć polskich bohaterów...

Pisałem te słowa, zanim mi Geach ofiarował swą angielską książkę *Logic matters* wydaną u Blackwella w 1972, a w niej – rzecz niezwykła – dedykacja po polsku: „Ku czci tych, co polegli w sprawie Ojczyzny”. Artykuł pożegnalny w obecnym tomie „Studiów Semiotycznych” poświęcił Geachowi Bogusław Wolniewicz, który także przytoczył te słowa. Wspominał też, że gdy zatłoczonym autobusem odwoził P.T.G. spod naszego Instytutu, Geach na przeprosiny za niewygodę odpowiedział, że nie szkodzi, „przecież to wszystko Polacy”. Wtedy przypomniałem sobie, że innym razem i do mnie wyrzekł podobne słowa, gdyśmy się wcisnęli do zatłoczonego autobusu, z tą różnicą, iż nie powiedział „przecież”, tylko „wszak”. Kiedyś o tym napisałem, ale nie pamiętam gdzie. Obiecałem prof. Wolniewiczowi, że o tym na-

pomknę. Wprawdzie to drobiazg, ale chyba symptomatyczny: domyślam się, iż to zdanie nie było zdawkową formułką towarzyską w rodzaju „ależ nic nie szkodzi”, lecz świadczyło, że reakcja ubrana w te słowa zapadła głęboko w świadomość Geacha i narodziło się w nim uczucie – pod względem rodzaju motywów, nie skali gotowości do poświęceń ani ich rozmiarów – podobne do tego, które w *Hymnie do miłości Ojczyzny* Ignacy Krasicki wyraził słowami „dla Ciebie zjadłę smakują trucizny, Dla Ciebie więzy, pęta nie zelżywe...”. „Studia semiotyczne” opublikowały trzy artykuły P.T. Geacha: *Czemu zdanie nie jest nazwą* w tomie III (1972), *Imiona własne a nazwy ogólne* w tomie V (1974), *Nazwy a identyżność* w tomie VI (1975) oraz wymieniają cztery Jego odczyty na naszych zebraniach semiotycznych w Warszawie.

Wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Semiotycznego – „Studia semiotyczne” i Bibliotekę Myśli Semiotycznej – a zwłaszcza ludzi: autorów związanych z tymi wydawnictwami i czytelników, oraz mnie, i jako wydawcę „Studiów”, i jako redaktora niebieskiej serii, przede wszystkim zaś jako kogoś, kto od wielu lat znał i bardzo cenił Halinę Zelnikową. Jej śmierć (15 października 2013 r.) przejęła nie tylko głębokim smutkiem i żalem, ale i niepokojem o przyszłość tych publikacji. Zabrakło osoby, która roztaczała opiekę językową i przygotowywała do druku „Studia” od ich tomu XXI–XXII (1998), a książki serii BMS – od tomu XLVI (2000). Wkładała w tę pracę cały swój talent, kulturę językową i ogólną, wiedzę i doświadczenie wytrawnej byłej redaktorki Państwowego Wydawnictwa Naukowego PWN i tłumaczki książek w języku rosyjskim, jak również umiejętności nauczycielskie i wychowawcze, wyniesione ze swej pierwszej pracy – asystentury na filozofii UW. Za Jej cenny wkład dziękowałem też Halinie Zelnikowej na kartach „Studiów semiotycznych”, w tomie XXV z r. 2004.

Polskie Towarzystwo Semiotyczne, „Studia semiotyczne” i Biblioteka Myśli Semiotycznej zaciągnęły dług wdzięczności wobec jednego jeszcze człowieka, którego już od lat nie ma wśród nas; jest nim Janusz Krajewski, za młodu wysokiej klasy oszczepnik, z czasem założyciel Biblioteki filozoficznej i socjologicznej naszego Wydziału, Uniwersytetu Warszawskiego oraz Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Od początku otaczał opieką wydawnictwa semiotyczne i współdziałał w założeniu księgozbioru semiotycznego, zawsze gotów do skutecznej i wydajnej pomocy. Życzliwie popierał nasze inicjatywy i realizację naszych planów. Przywiązaniem i wielkim szacunkiem darzył profesorów Tatarakiewicza i Kotarbińskiego. Pierwszego z nich uczcił, opracowując bibliografię jego publikacji. Gdy zaś do Warszawy przeniósł się Kazimierz Ajdukiewicz, i Jego objął podobnym uczuciem. Swą życzliwość i gotowość do pomocy nie tylko przeniósł na nas, wychowanków tej trójcy koryfeuszy filozofii polskiej i spadkobierców ich myśli, ale też przekazał w spadku swemu godnemu następcy, kontynuatorowi i przyjacielowi, Januszowi Siekowi. Wprawdzie w tym miejscu żegnam z kręgu współdziałających ze „Studiami”

tych, co zmarli od czasu ukazania się poprzedniego tomu, tych zaś, którzy dawniej odeszli, żegnaliśmy w poprzednich *Wspomnieniach pozgonnych* lub we wstępach *Od wydawcy*, po śmierci każdego z Nich, dla Janusza Krajewskiego uczyniłem wyjątek, bo jest On twórcą-założycielem naszej wspaniałej Biblioteki wydziałowej oraz instytucyjowej, spolegliwej – jak powiedziałby Tadeusz Kotarbiński – sojuszniczki działań semiotycznych w Polsce. Postać Janusza Krajewskiego zamyka obecną listę zmarłych, którzy przyczynili się do osiągnięć semiotyki. Także i następni dyrektorzy oraz pracownicy tej zasłużonej placówki ofiarnie wspomagali i popierali nasze poczynania. Z tą zatem chwilą powracam do listy obecności tych, wobec których czujemy się dłużnikami, powracam do podziękowań dla żyjących wśród nas przyjaciół i współbudowniczych semiotyki w Polsce.

Jednego z nich już wymieniałem: Jacka Jadackiego, który po moim przejściu na emeryturę w r. 1994 objął kierownictwo Zakładu Semiotyki Logicznej UW, członkiem zaś Polskiego Towarzystwa Semiotycznego został wcześniej, w r. 1973, i w latach 1986–1991 zasiadał w Zarządzie PTS, a od r. 1993 do 2001 był zastępcą sekretarza Towarzystwa. Wraz z Teresą Hołówką, Urszulą Niklas i Piotrem Brykczyńskim należał do starej gwardii Zakładu i wszyscy wymienieni brali czynny udział w jego i Towarzystwa działalności, m.in. jako autorzy artykułów w „Studiach”. Ponadto Teresa Hołówka w latach 1973–1981, Urszula Niklas 1973–1979, Piotr Brykczyński 1973–1994, Jacek Jadacki 1974–1990 byli prelegentami na semiotycznych zebraniach naukowych, zarówno w Polsce, jak na forach międzynarodowych.

Ponieważ opisując tu działalność na polu semiotyki, uwzględniam w tej chwili przede wszystkim dzieje wydawnictw, a zwłaszcza „Studiów semiotycznych” i projektu Z-J-R, łączącego na ich utrzymanie, wspomnę jeszcze o kilku osobach, których praca służyła tym przedsięwzięciom. Są to Wiesława Żandarowska, Mieczysław Omyła i Janusz Siek, wcześniej już wspomniany. Pierwszych dwoje wspomagało „Studia” z racji swych funkcji w Zarządzie PTS: dr Żandarowska jako jego sekretarz (1999–2004), a prof. Omyła jako jego skarbnik (1993–2005).

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się Januszowi Siekowi, dziś emerytowanemu dyrektorowi tejże Biblioteki. Bez Niego od dawna nie byłoby „Studiów” ani Biblioteki Myśli Semiotycznej, a wieloletnie badania semiotyczne Z-J-R zapewne pozostałyby na swych kolejnych etapach nie zrealizowanymi projektami. Dyrektor Janusz Siek – choć odmawiał moim prośbom, aby został członkiem PTS – był gospodarzem wydawnictw Towarzystwa i projektu Z-J-R, powiedziałbym „ich aniołem stróżem”, gdybym miał pewność, że ten nie ogranicza się do orędownictwa, lecz rozciąga swą działalność na całą tzw. „logistykę”, tj. administrowanie, gospodarowanie, transport i dystrybucję. Trudno znaleźć słowa zdolne oddać zasługi Janusza Sieka dla Biblioteki, którą kierował i znakomicie rozwinął, oraz dla pracowników

i studentów warszawskiej filozofii i socjologii, zarówno uniwersyteckiej, jak PAN-owskiej, a w szczególności dla wszelkich przedsięwzięć semiotycznych. Młódzież zazwyczaj wykazuje wrażliwość na prawdziwe wartości, na autentyczne dobro, toteż natychmiast wyczuła w Januszu Sieku wyjątkowego człowieka i przyjaciela. W jednym ze wstępów *Od wydawcy* wspomniałem, że gdy frontowa ściana budynku na Krakowskim Przedmieściu 24, przylegającego do głównej bramy Uniwersytetu, groziła runięciem na ulicę i w prasie rozległy się wołania o ratowanie zabytkowej (z 1710 r.) siedziby dawnego szpitala św. Rocha, studenci zareagowali żartem: nie ma obawy, Siek przebiegnie na drugą stronę ulicy i będzie podpierał stare mury. Niejednokrotnie podnosiłem na kartach „Studiów” Jego niepowszednie zasługi dla naszej uczelni i społeczności akademickiej, mianowicie w tomach XVI–XVII, s. 7–8, XVIII, s. 6, XXIII, s. 8–9, XXV, s. 12, XXVI, s. 5–6. Nie chcę powtarzać tamtych słów, ale pragnę, aby wryły się we wdzięczną pamięć przyjaciół, kolegów i znajomych Janusza Sieka: każdemu z nich kiedyś jakoś pomógł, wyświadczył przysługę, okazał życzliwość.

W roku 2005 sekretarzem Polskiego Towarzystwa Semiotycznego został Tadeusz Ciecierski. A gdy w roku 2011 z wyroku Achillesa zrezygnowałem z funkcji prezesa PTS, pełnionej od roku 1993, na moje miejsce została wybrana dr hab. Joanna Odrowąż-Sypniewska. Z obojgiem wiązały mnie relacje nauczyciel-uczeń, ale nie jednakowo zwrócone: p. Joannę pamiętam ze swych zajęć z pierwszym rokiem studiów filozoficznych jako wybitnie uzdolnioną studentkę; p. Joanna, wówczas jeszcze nie Sypniewska, następnie przeszła pod opiekę naukową profesora Jadackiego. A p. Tadeusz był moim nauczycielem sztuki komputerowej; jeśli mimo swej biegłości pedagogicznej nie zdołał uczynić ze mnie mistrza w tej dyscyplinie, to dlatego, że jestem za stary i za późno trafiłem pod jego skrzydła. Natomiast przed nim samym obozowanie z przyrządami elektronicznymi otworzyło możliwości, których brak ludzies starszego pokolenia, a wśród nich i ja, odczuwają jako przeszkodę lub ograniczenia w podejściu do zagadnień teoretycznych semiotyki, tj. nauk o poznaniu i komunikacji, lub ich analizowaniu. Z satysfakcją stwierdzam, że nasze, Tadeusza Ciecierskiego i moje, zainteresowania naukowe są na ogół zbieżne, a oceny wężności poszczególnych aspektów problematyki – podobne. Po latach się okazało, że oboje, prof. Odrowąż-Sypniewska i dr Ciecierski, z racji funkcji, które sprawowali w Polskim Towarzystwie Semiotycznym, odegrali wężną rolę dla naszych wydawnictw. Oto prof. Sypniewska przewodniczyła na piątkowych naukowych zebraniach semiotycznych, gdy musiałem zaprzestać ich prowadzenia, a dr, z czasem zaś doktor habilitowany Ciecierski, zebrania te przygotowywał i organizował, co nadal czyni, oraz występował na nich kilkakrotnie jako prelegent, w „Studiach” zaś jeden raz jako autor artykułu. Oprócz tego oboje roztoczyli opiekę redaktorską i organizacyjną nad angielskim suplementem do „Studiów Semiotycznych”,

złożonym z przekładów wybranych artykułów, które po polsku ukazały się w „Studiach”; ponadto dr Ciecierski jako sekretarz PTS był inicjatorem tego suplementu. Oboje, wraz z innymi członkami Zarządu PTS, organizują konkursy im. Henryka i Danuty Hiżów na artykuł z zakresu semiotyki wyróżniający się w danym okresie. A w roku 2015, gdy prof. Sypniewska z powodów rodzinnych zrezygnowała z kierowania Polskim Towarzystwem Semiotycznym, by poświęcić się obowiązkom macierzyńskim, dr hab. Tadeusz Ciecierski został wybrany na prezesa PTS, *quod felix, faustum fortunatumque sit*, dr Michał R. Węsierski zaś objął funkcję sekretarza PTS.

Miejsce redaktora językowego i edytorskiego, opustoszałe po śmierci Haliny Zelnikowej, zajął w roku 2015 mgr Marcin Będkowski, absolwent filozofii i polonistyki, kiedyś słuchacz na moich zajęciach semiotycznych. Obecnie, jako doktorant, sam prowadzi zajęcia w podobnym stylu. Tak się złożyło, że w swej nowej roli przygotowuje tylko mój pożegnalny tom XXVIII–XXIX „Studiów”, a *si fata sinant* – może także moją książkę, jeśli ta trafi do Biblioteki Myśli Semiotycznej. Szkoda, że nie było nam dane rozszerzyć tej współpracy. Zapewne to, że ukończyliśmy studia filozoficzne i polonistyczne, a ponadto mamy podobne zainteresowania i upodobania teoretyczne, uczyniłoby ją owocną. Gdy szukałem następcy Haliny Zelnikowej, okazało się po raz któryś, że pod latarnią najciemniej. Bo choć znałem kolegę Będkowskiego od lat, nie tylko ze swoich zajęć, ale także jako autora protokołów z posiedzeń Rady Naukowej Instytutu Filozofii UW, wyszukał go dla mnie wśród polonistów – dziękuję! – mój dobry znajomy sprzed wielu lat, profesor Zygmunt Saloni, członek ekipy polskiej na dwumiesięcznej sesji 1975 Linguistic Institute w Tampie na Florydzie, a przedtem uczestnik naukowych zajęć semiotycznych w ich najwcześniejszym okresie; byłem egzaminatorem na jego egzaminie doktorskim, moi rodzice znali jego ojca jeszcze ze swoich i jego lat akademickich na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie przed pierwszą wojną światową czy w czasie jej trwania, ja zaś jego rodziców jeszcze w czasach, gdy go nie było na świecie.

Dobiega końca rys wspomnieniowo-historyczny tych wydawnictw semiotycznych, z którymi koleje życia związały mnie ściśle w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Z początku związek ten powstał dzięki ówczesnym okolicznościom, na poły przypadkowo. Później jednak podtrzymywałem go świadomie i z rozmysłem kontynuowałem wykonywanie tego zadania. Starając się bowiem trzeźwo i krytycznie oceniać swoje możliwości, doszedłem do przekonania, że jeśli będę innych pobudzał do „czynów zewnętrznie wytwórczych” – by użyć słów Tadeusza Kotarbińskiego – i organizował ich pracę oraz pośredniczył w przekazywaniu wyników ich myśli, większe zyskam szanse, że dokonam w życiu czegoś pożytecznego, anizeli gdybym tylko obdarowywał świat płodami własnego umysłu, czego zresztą nie potrafiłem sobie odmówić.

W ciągu swej wieloletniej (1945–2010) kariery akademickiej w wielu instytucjach naukowych, a jeszcze dłuższej, bo poprzedzonej nauczycielską od r. 1940, i przedłużonej o pisarską, trwającą nadal, spotykałem na trzech kontynentach – nigdy nie byłem w Australii – ludzi sławnych, o wielkim rozgłosie, wielokrotnie cytowanych luminarzy, a mimo to po ich śmierci otoczonych głuchą ciszą zapomnienia. Z jednego z nich, cieszących się wielką estymą w Ameryce Południowej, gdzie sprzedawano kilkudolarowe karty wstępu na jego uniwersytecki wykład, zażartowałem sobie – nie wymieniając go z nazwiska. Oto pod koniec swego wykładu kongresowego na Uniwersytecie w Sao Paulo rozdałem słuchaczom kartki, a na każdej dwa teksty; jeden z nich był fragmentem książki owego klasyka, drugi przerobiłem poprzedzając każde zdanie negacją i zastępując wyrazy oryginału ich antonimami. I poprosiłem, żeby każdy ze słuchaczy rozpoznał, który tekst pochodzi od mistrza. Pisałem o tym w „Studiach”. Po wykładzie podchodzili do mnie koledzy z Europy, molestując, abym sąsiadom zza miedzy zdradził sekret. Nic z tego! A dziś, gdy czytam tę kartkę, sam już nie wiem, co zaczerpnąłem od niego, a co sam napisałem. Pozostała świadectwem, że barbarzyńca ze szkoły analitycznej nigdy nie zgłębi myśli filozofa z polotem, przykładowie niezrozumiałego, widocznie więc bardzo mądrego.

Los okazał się dla mnie niezasłużenie łaskawy: miałem wspaniałych nauczycieli i przyszło mi żyć w złotym wieku nauk, które uprawiam, mogłem poznać i nierzadko spotykać ludzi wielkiego talentu, co choćby raz rozbłysnął jedną wiekopomną myślą. Nauczyłem się odróżniać ruchliwych komiwojażerów nauki od umysłów odkrywczych i twórczych. I z tej nauki wynoszę pewność, że nie warto tracić czasu na czytanie modnych producentów kolaży, intrologatorów zszywających cudze myśli pod własnym nazwiskiem – a z takich dzieł składa się przeważająca większość rozreklamowanej literatury naukowej. Lepiej być kolekcjonerem niewielu cymeliów, dyrektorem galerii złożonej z dzieł mistrzów, czy marszandem o wyrobionym smaku niż „artystą”, który swoimi kiczami zasypuje drugorzędne wystawy. „Wielkości nie szukajcie tam, gdzie wielkie stado” – to znowu myśl Tadeusza Kotarbińskiego.

*Pożegnanie ze „Studiami semiotycznymi”* napisałem nie tylko pod wpływem sentymentu do nie jedyne go wprawdzie, ale jednego ze swych ważniejszych zatrudnień. Przyświecał mi także cel praktyczny: podzielić się z otoczeniem swymi doświadczeniami, z których pewne może okazać się dla kogoś przydatne.

O niektórych z tych doświadczeń już wspominałem. Teraz pragnę je zebrać w jednym miejscu: zarówno te już wymienione, jak dodając inne.

1. Do tych drugich należy sugestia, która nie mogła dotyczyć „Studiów” sprzed lat dziewięćdziesiątych, a wyłoniła się dopiero dzięki postępom elektroniki: aby każdemu tomowi drukowanej wersji „Studiów Semiotycznych”

i Biblioteki Myśli Semiotycznej towarzyszyła jego wersja elektroniczna. Dzięki temu znacznie się zwiększyło grono czytelników, a sprawa kulejącej dystrybucji stanie się mniej dokuczliwa.

2. Przez pewien czas oprócz tomu „Studiów” po polsku wydawałem trzy zeszyty, angielski, francuski i rosyjski. Każdy składał się ze streszczeń poszczególnych artykułów. Zaniechałem tej praktyki, bo się okazało, że niektórzy autorzy nie potrafili napisać zwięzłego streszczenia własnego artykułu i przemycali dodatkowe uwagi, poziom przekładów nie był zadowalający, koszty rosły, a przedłużały się prace wydawnicze. Po latach zamiast tego skorzystałem z informacji przekazanej mi przez kol. Ciecierskiego o możliwościach dofinansowania angielskich przekładów poszczególnych artykułów *in extenso*. Widzę jednak, że realizacja tej procedury znacznie się opóźnia, a ponadto, pod moją nieobecność spowodowaną chorobą, uległa zmianie nie po mojej myśli. Mianowicie decyżę, który artykuł ma się ukazać po angielsku, powierzono autorom, naruszając w ten sposób zasadę „*nemo iudex in causa sua*”, podczas gdy jestem zdania, że wybór powinien należeć do redaktora lub zespołu redagującego, który sam dokona selekcji i wskaże wybrane artykuły do opublikowania także w angielskim suplemencie. Uważam, że i w przyszłości, po wprowadzeniu wspomnianych zmian, należy wydawać suplement angielski złożony z wybranych artykułów, ale tylko za zgodą każdego z autorów, a nie na jego życzenie. To samo dotyczyć winno tomów Biblioteki Myśli Semiotycznej.

3. Konkurują dziś z sobą hasło ilości i hasło jakości. Według pierwszego „*non multum, sed multa*”, według drugiego „*non multa, sed multum*”. Pierwszemu towarzyszy postulat punktualności i regularności, oba skądinąd słuszne, oraz lęk przed „uznaniowością”, drugiemu przekonanie, że od dążenia do coraz wyższej jakości nieodłączna jest czynność oceniania i selekcji, a w obu uznawanie czegoś za lepsze albo za gorsze według krytycznego osądu kompetentnych znawców. Opowiadam się stanowczo za osiągnięciem możliwie jak najwyższej jakości, choćby się to łączyło z obrazą marzeń ograniczonego biurokraty o idealnej zgodności z przepisami, nieskazitelnym sprawozdaniu i punktualnym rozliczeniu.

4. W związku z poprzednim punktem powraca uciążliwa sprawa skrupulatnego recenzowania nadsyłanych artykułów. Jak już wspomniałem, nie udało mi się jej rozwiązać w sposób zadowalający. Nie udało mi się zapewnić pomocy honorowych recenzentów, czyli recenzentów nie oczekujących honorarium. Sam zaś, oceniając prace proponowane do opublikowania, nie dołączyłem uniknąć osobistej „uznaniowości” i znacznego nakładu własnego czasu i pracy, po części nie najbardziej ulubionej. Z długoletnich doświadczeń wykładowcy nauczyłem się, że oceniającego naraża to na nieprzychylnie oceny ocenianych. Oto po habilitacji, a wraz z nią uzyskaniu *venia legendi*, przez pewien czas prowadzenie i zaliczanie ćwiczeń przeznaczonych dla grup studenc-



kich powierzałem młodszym kolegom, sobie zaś pozostawiałem wykłady dla całego roku studiów, a następnie egzaminy dla tych słuchaczy, którzy zaliczyli ćwiczenia i pomyślnie odbyli kolokwia ustne u asystentów. Póki deklamowałem swoje wykłady w dużych audytoriach, nie sprawdzając umiejętności słuchaczy ani efektywności swoich własnych usiłowań, wyglądało, jakby moje zajęcia cieszyły się powodzeniem: sale były pełne, a ja żyłem w błogiej nieświadomości na temat wartości swej pracy, bo nie mogłem się przekonać, czy słuchacze w dalszych rzędach notują, uważają, śpią, czy zajmują się własnymi sprawami. Moje dobre samopoczucie podtrzymywały hospitały ministerialne, mające podglądać tajemnice sprawnego nauczyciela, które jakoby posiadałem; w rzeczywistości żadnych tajemnic nie było. Sytuacja uległa zmianie, odkąd zacząłem łączyć wykłady z ćwiczeniami i na każdych zajęciach dawać „kartkówki”, odpowiedź na jedno pytanie, a za nią plus lub minus, mające wpływ na końcową ocenę. Wtedy ci moi słuchacze, których – w ich mniemaniu – nie doceniłem, zaczęli mi zarzucać że z wykładów uniwersyteckich robię lekcje szkolne, podczas gdy – jak wiadomo – uniwersytet tym ma się różnić od szkoły, że w niej się człowiek musi uczyć, a tu tylko studiuje; miłośnicy złotej wolności studenckiej i amatorzy słodkiego życia akademickiego przenosili się do kolegów, u których było łatwiej, audytorium się przerzedzało, mimo że w czynności dydaktyczne wkładałem więcej pracy niż poprzednio, bo mi jej przybyło przy obmyślaniu zadań i ich sprawdzaniu. Mimo to po dzień dzisiejszy pozostałem zwolennikiem „kartkówek”, choć nie tęsknię do nich. Podobnie – w pracy wydawniczej wymagam od siebie sumiennego oceniania materiałów, choć i do tego nie tęsknię, chyba że wzbudziły moje zainteresowanie. Gotowych formularzy recenzyjnych nigdy nie wypełniałem ani testów nie stosowałem. Troska o jakość sprawia, że wolę, żeby nie było streszczenia, zwanego dziś „abstraktem”, i terminów kluczowych, a wszystko to w językach obcych, niż żeby było koślawo napisane, terminy nietrafnie wybrane, a przekład właściwie po polsku, tyle że złożony ze słów w obcym języku.

5. Jeżeli „Studia Semiotyczne” będą nadal wychodziły, przekształcone w czasopismo, uważam za wskazane opracowanie instrukcji wydawniczej oraz informacji, jak należy przygotować rękopis.

6. Do obecnie stosowanych sposobów uzyskiwania pieniędzy na wydawnictwa należą subwencje od sponsora oraz realizacja projektów badań. Mimo że ta druga droga jest bardziej uciążliwa niż udział w konkursach o „granty”, ją właśnie bym zalecał. Wydaje mi się bowiem, że wykonywanie odpłatnych zespołowych badań naukowych świadczy o aktywności ich wykonawców i może skłonić władze dotujące do przyznawania subwencji temu samemu zespołowi wydawców przez czas dłuższy. Tymczasem przy rozdzielaniu stypendiów wydawniczych sponsor kieruje się zwykle zasadą, aby zmieniać odbiorców grantów i przywilejem tym sprawiedliwie obdarowywać coraz to kogo innego.

7. Wspominałem już o zaletach współpracy Polskiego Towarzystwa Semiotycznego z uniwersyteckim Zakładem Semiotyki Logicznej oraz innymi pokrewnymi instytucjami badawczymi i dydaktycznymi, które – zarówno w Polsce, jak zagranicą – zajmują się poznaniem i komunikacją, a także z poszczególnymi badaczami i nauczycielami językoznawstwa, logiki, filozofii, psychologii, socjologii, informatyki, neurofizjologii, kulturoznawstwa, nauk o sztukach itd.

8. Łączne wykonywanie przez ten sam zespół sprawczy działań badawczych, dydaktycznych, wydawniczych i organizacyjnych w zakresie semiotyki, czyli nauk o poznaniu i komunikacji, wydaje się godne zalecenia, bo wymienione poszczególne rodzaje aktywności będą się wzajemnie wspomagały. Dlatego należy dbać o to, aby w stałej współpracy brali czynny udział adepci dyscyplin wymienionych w punkcie (7) i rodzajów pracy wymienionych w punkcie (8) oraz aby odbywało się to pod wspólną nazwą nauk o poznaniu i komunikacji, jako znak firmowy, często powtarzany w celu rozpowszechnienia go i utrwalenia w pamięci.

\*   \*  
\*

Pierwsze swoje seminaria semiotyczne ogłosiłem w roku akademickim 1961–1962, po uzyskaniu habilitacji. Po kilku latach, w połowie lat sześćdziesiątych, zacząłem przemyślać nad przyszłym wydawnictwem semiotycznym. Moje zatem rozstanie ze „Studiami semiotycznymi” następuje po okresie pół wieku, a to okres dostatecznie długi, by narodziło się we mnie przywiązanie do uprawianego pola, więc żegnam się z nim nie bez żalu.

*Warszawa, listopad 2015. Jerzy Pelc*